

PRAWDA CZAI SIĘ
POD SKÓRĄ



W cudzym ciele

PAULA RAWSTHORNE

ZIELONA
SOWA

Fragment darmowy udostępniony przez Wydawnictwo
w celach promocyjnych.

EGZEMPLARZ NIE DO SPRZEDAŻY!

Wszelkie prawa należą do:
Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
Warszawa 2018

www.zielonasowa.pl

W cudzym
ciele

PAULA RAWSTHORNE



W cudzym ciele

Przekład: Bożenna Stokłosa

ZIELONA
SOWA

*Dla mojej mamy Veroniki,
najważniejszej osoby w rodzinie Rawthorne'ów*

Tytuł oryginału: *Shell*

Przekład: Bożenna Stokłosa
Redaktor prowadzący: Sylwia Kurek
Redakcja: Teresa Zielińska
Korekta: Marzena Kwietniewska-Talarczyk
Skład: Studio 3 Kolory
Opracowanie graficzne okładki: Studio 3 Kolory

First publisher in the UK by Scholastic Ltd, 2018
Text copyright © Paula Rawthorne, 2018
© Copyright for the Polish translation by Bożenna Stokłosa, 2018
© Copyright for the Polish edition
by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
Warszawa 2018
All rights reserved.

Wydanie I

Wszystkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów
książki możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8073-964-2

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
00-807 Warszawa, Al. Jerozolimskie 94
tel. 22 379 85 50, fax 22 379 85 51
wydawnictwo@zielonasowa.pl
www.zielonasowa.pl

ROZDZIAŁ 1

ŻEGNAJ, LUCY

Patrzę, jak Mak szuka czegoś w torebce. Jak miło znowu ją zobaczyć! Musiała wcześniej wylecieć z Houston do El Paso, aby o tej porze dotrzeć do kliniki. To moja najlepsza przyjaciółka, która od czasu nawrotu u mnie choroby stała się również moim guru w sprawach zdrowia, dostarczycielką rozrywki i wizażystką. Jest zaopatrzona w magazyny ilustrowane, „podnoszące na duchu” utwory muzyczne, „inspirujące” książki i wszystkie komedie świata, bo jak mówi: „Trzeba docenić uzdrawiającą moc śmiechu”.

„Ależ tak, Makaylo, właśnie za pomocą śmiechu zamierzam się pozbyć tego pieprzonego guza!” – mam ochotę jej powiedzieć, lecz tego nie robię, bo widzę, jak bardzo stara się mi pomóc.

– Znalazłam coś takiego! – Macha mi przed nosem ozdobnym flakonem perfum. – W tym nowym butik w galerii handlowej. Gdy wrócisz do domu, zabiorę cię tam.

Perfumuje mi poduszkę. Na szczęście robi to ostrożnie, uważając, by nie pokropić mojej cienkiej jak pergamin skóry. Czuję zapach moich ulubionych kwiatów, który chwilowo tłumi nieprzyjemną woń środka dezynfekującego i choroby.

– To zapach frezji. Gdy tylko powąchałam te perfumy, wiedziałam, że są dla ciebie idealne. Podoba ci się? – pyta niecierpliwie.

– Uwielbiam go – mówię słabym głosem, uśmiechając się do niej z wysiłkiem.

Jej twarz się rozjaśnia, jak zawsze wtedy, gdy myśli, że sprawiła mi przyjemność.

Czuję się obolała, kiedy przekłada mi poduszki i mnie podpierą. Trzyma mi kubek, gdy piję z niego przez słomkę wodę.

– Potrafię go utrzymać, wiesz o tym – przypominam jej.

– Wiem – potwierdza z uśmiechem i poprawia mi czapkę, która ciągle zsuwa się do tyłu z mojej łysej głowy. Następnie wyjmuję z torebki pojemnik z mussem czekoladowym i oznajmia: – Moja mama zrobiła go specjalnie dla ciebie. BTW, przesyła ci serdecznego całusa.

Jak mogę odmówić, gdy łyżeczką wkłada mi mus do ust, jakbym była małym dzieckiem? Gęsta lepka masa zalega w moim suchym gardle.

– Chcą mi założyć sondę do żywienia dojelitowego – wypalam, obserwując jej reakcję.

Twierdzi, że nie mogę odmówić. Ale moja przyjaciółka szybko przypomina sobie, że powinna być pogodna.

– Owszem, słyszałam o tym. Na szczęście tak będzie tylko przez krótki czas, Lucy. Chodzi o to, by cię wzmocnić...

Odżywić – odpowiada wesoło, biorąc mnie za rękę, a ja spoglądam na nasze splecione palce i w pierwszej chwili nie rozpoznaję swojej dłoni, ponieważ choroba szybko postępuje i nie pamiętam, kiedy moje dłonie zaczęły wyglądać jak u staruszki. Mak drży, jakby robiła to za mnie, i dodaje: – Są lodowate. – Wyjmuje ze swojej czarodziej-skiej torebki balsam i zapewnia: – Jest całkowicie naturalny. Nie podrażni ci skóry. – Delikatnie wmasowuje odżywkę w moje dłonie i wychudzone ramiona, sprawiając mi tym wielką przyjemność. Po chwili zmienia temat i oznajmia: – Przed kilkoma dniami widziałam się z twoją babcią. Jej pastor i wszyscy parafianie modlą się o twój powrót do zdrowia.

Uśmiecham się na myśl o babci i potwierdzam:

– Dzięki niej modli się o to pewnie połowa mieszkańców Teksasu. Pisz do mnie codziennie, cytując Biblię. Szkoda, że nie mogę się z nią zobaczyć. Bardzo chce mnie odwiedzić. Niestety, mama się na to nie godzi, bo uważa, że byłby to dla babci zbyt duży wstrząs.

– Dużo osób u ciebie bywa? – pyta Mak.

– Tata kilka razy wyrwał się z pracy, ale głównie jest ze mną mama – odpowiadam, ciężko wzdychając. – Mieszka tu niemal przez cały czas. Chciałabym zobaczyć Arthura. Niestety, w obawie przed infekcją nie wolno tu przyprowadzać zwierząt domowych. Poza tym Arthur cierpi na chorobę lokomocyjną, więc źle zniósłby podróż z Houston.

– Może po powrocie pojedę do twojego domu i nagram filmik z Arthurem, co ty na to? – proponuje moja przyjaciółka. – Jak twój pies macha do ciebie łapą i takie tam...

– Dzięki, Mak. Bardzo chciałabym, abyś to zrobiła – odpowiadam. Na myśl o tym, że mogłabym zobaczyć na naganiu Arthura, łzy napływają mi do oczu i zaczyna mi drżeć górna warga. Ale nie powinnam płakać.

– Hej, nie krzyw się – przywołuje mnie do porządku Mak, mrużąc oczy. – Tu nie wolno się mazać.

– Och, nie pouczaj mnie – oświadczam żartobliwie. – Lepiej opowiedz mi najnowsze plotki z Bailey Heights.

Ale tylko udaję, że mnie interesują, po prostu chcę, by Mak nie przestawała mówić. Z powodu wyczerpania sama nie mogę mówić za dużo, a ona źle znosi ciszę. Poza tym gdybym trąkotała, musiałaby milczeć i być może wysłuchać czegoś, czego by nie chciała. Tak czy inaczej lubię, jak Mak nie zamykają się usta. Podoba mi się jej melodyjny głos, zwłaszcza teraz, gdy mój jest taki słaby i pozbawiony energii.

Szkoda, że nie mogę być bardziej przytomna i uważna. Wydaje mi się, że przez ostatnie dwa tygodnie na przemian zasypiałam i budziłam się. Za każdym razem gdy otwieram oczy, wpadam w panikę, czekając, aż widniejący przed nimi zmacony obraz rzeczywistości stanie się wyraźny. Ale wciąż tu jestem, w tej klinice na pustyni, za pobielonymi murami, i leżę w łóżku z wkłutymi w zapadnięte żyły igłami.

– No dobra. Byłam wczoraj w Memorial Park i zgadnij, kogo widziałam, jak wpychał język do gardła lasce, która *nie jest* jego dziewczyną? – pyta Mak, szeroko otwierając oczy.

Uśmiecham się w duchu. To jest Mak, którą znam i kocham. Uwielbiam tę gadulę i jej opowieści.

– Nie mam pojęcia – oznajmiam, wzruszając ramionami.

– To ktoś ze szkoły, kogo znasz – podpowiada.

Z wysiłkiem przywołuję w pamięci kolegów z klasy, gdy Mak wkłada mi do ust kolejną łyżeczkę musu. Nie widziałam ich od czasu, kiedy znowu musiałam przerwać naukę. Z pewnością żadnemu z nich nie przyszło do głowy, by mnie odwiedzić. Prawdopodobnie nawet nie zauważyli, że mnie nie ma. Raczej nie chcieliby utrzymywać ze mną kontaktów, nawet gdybym *była* najpopularniejszą laską w szkole, skoro stałam się przynębiającym przypomnieniem tego, że młodość nie czyni odpornym na śmierć.

– Nikt mi nie przychodzi do głowy – mówię.

– Nie poddawaj się – dopinguje mnie Mak. – To straszny palant. Nie znosimy go obie.

– Chodzi ci o Josha? – domyślam się.

– Tak! – potwierdza.

Krzywię się z niesmakiem. Josh Dartmere! Na myśl o nim czuję się żałowana. Nie mogę uwierzyć, że traciłam cenny czas na umawianie się z nim w czasie remisji nowotworu. Byłam żalosna. Ale szczerze wierzyłam, że wpadłam w oko zawodnikowi ze szkolnej drużyny futbolowej. Na szczęście szybko się zorientowałam, że chodzi ze mną tylko po to, by inni uważali go za fajnego gościa, skoro umawia się z „dziewczyną chorą na raka”. Kiedy zerwałam z nim pod wpływem apeli Mak do mojego poczucia godności, przyznał się, że spotykał się ze mną z litości. Co za dupek!

Gdy moja przyjaciółka kończy tyradę na jego temat, wracam do rzeczywistości.

– Falszywy drań – oburza się Mak.

– Na samą myśl o nim robi mi się niedobrze – wyznaję z drżeniem. – Lepiej porozmawiajmy o tobie i panu Kendricku. Czy już

ci się oświadczył? – Uśmiecham się ironicznie na wspomnienie nieodwzajemnionej miłości Mak do naszego anglisty.

– Kpij sobie z tego, ile chcesz, ale pewnego dnia ja i Bret Kendrick będziemy razem. Zamieszkamy w jednym z tych wielkich nieforemnych domów w Montrose, wśród artystów i pisarzy. A kiedy on będzie zmieniał pieluchy naszej rozkosznej trójce, nie, czwórce niemowlaków, ja będę pracowała nad najnowszym tomikiem poezji.

Boli mnie od śmiechu klatka piersiowa, lecz nie mogę się powstrzymać. Po zjedzeniu musu czekoladowego odczuwam nagły przypływ energii.

– Wiesz przecież, że on mieszka ze swoją dziewczyną – przypominam jej.

– I co z tego? Przypadkiem wiem, że to księgowa! – woła zniesmaczona Mak. – A Bret potrzebuje kogoś, kto będzie dzielił z nim miłość do języka, do literatury. Poza tym jaki facet przy zdrowych zmysłach nie chciałby mieć w domu sobowtóra Jennifer Hudson? Jestem *stuprocentową* kobietą! – wykrzykuje, płasząc po pokoju.

– Przestań go śledzić – mówię, chichocząc. – Bo jak cię zapuszkują, nie będziesz mogła do mnie przyjeżdżać.

Robi minę, ale jest zachwycona tym, że doprowadziła mnie do śmiechu.

– Wystarczy już tego moralizowania, Lucy. Teraz potrzebujesz odmiany wyglądu – oznajmiam.

– Nie – jęczę i okrywam się prześcieradłami. – Nie dam rady. Nie dziś.

– Właśnie dlatego jest ci potrzebna odmiana. Nałóżmy nieco różu na policzki, choć wygląd wampira nigdy

nie wyjdzie z mody – żartuje Mak, puszczając do mnie oko.

Gdy robi mi makijaż, cieszy się z tego jak jakaś wariatka. Szkoda, że nie jest na tyle odważna, by potrafiła skończyć z udawaniem. Nadal mówimy sobie wszystko. Zawsze zwierzałyśmy się sobie nawet z krępujących spraw i gdybyśmy zerwały tę znajomość, żadna nie miałaby nikogo bliskiego. Niestety, obecnie Mak unika rozmowy na jedyny liczący się temat i podobnie jak moi rodzice w kółko powtarza te same frazesy: „gdy twój stan się polepszy”, „to tylko trudny okres”, „spędzimy razem najwspanialsze lato”.

– Dobrze wyglądają! – zachwyca się moimi brwiami, kończąc je rysować ołówkiem. – Pora zrobić selfie. W czapeczce czy bez?

Nasuвам czapeczkę głębiej na czoło i odpowiadam:

– W.

Nie chcę, aby Makayla zamieściła w Internecie moje zdjęcie, na którym wyglądam jak kosmitka z oczami jak spodki. Nie chcę, by ludzie mnie taką zapamiętali. Wybrałam już nawet zdjęcie na swój pogrzeb. Przed kilkoma tygodniami wysłałam je mamie mailem. Ciągłe ją pytam, czy je dostała, ale zawsze wtedy zmienia temat. Nie mogę jej przekonać, by wyraziła na nie zgodę. Podobają się jej inne moje fotografie, na których wyglądam jak kompletna kretyńska. Wybrałam jedną z zeszlórocznego pobytu na Barbadosie. Tata wziął parę dni wolnego i wynajął dla nas cudowny dom na plaży. Codziennie jeździłam konno po piasku. Czułam się wspaniale. Nic mi nie dolegało. Nie myślałam, że nastąpi nawrót choroby. A teraz, gdy spoglądam na szkielet, w jaki się za-

mieniłam, nie mogę sobie wyobrazić siebie znowu zdrowej. Nie cierpię, jak rodzice udają, że wierzą w poprawę mojego stanu. Czy naprawdę uważają, że mogą mnie uchronić przed tym, co według mnie nieuchronnie nastąpi? Zmuszają mnie do leczenia, choć wszyscy wiemy, że wtłaczanie do mojego ciała jeszcze więcej niż dotychczas trucizny niczego nie zmieni. W ten sposób czynią z mojego życia piekło na ziemi, bez względu na to, ile mi go jeszcze zostało. Ja jestem przygotowana na koniec tego wszystkiego, nawet jeśli oni nie są.

Mak delikatnie obejmuje mnie ramieniem, jakby w obawie, że inaczej rozlecę się na kawałki, ale jej ciepłe ciało dominuje nad moim. Wyjmuje komórkę.

– Na trzy masz megaseksośnie wyjąć wargi. Raz, dwa, trzy! – woła i robi zdjęcie, pokazując mi ekran: – Wyglądasz wspaniale!

Wpatruję się w swoją fotografię. Przy pomalowanej brązową bazą twarzy okropnie razi wychudła, niemal przezroczysta szyja, jakby należała do kogoś innego. Mak próbowała za pomocą korektora ukryć sińce pod oczami, ale przez to wydają się jeszcze bardziej zapadnięte. Róż jedynie zwraca uwagę na wklęsłe policzki, a szminka na spękanych wargach wygląda jak warstwa gipsu. Brwi są tak wygięte, że nadają twarzy szokujący wyraz.

Przesuwam wzrok na fotografię Mak i ogarnia mnie nie spodziewana zazdrość. Pragnę mieć gęste błyszczące loki, nieskazitelną skórę i pełne gładkie usta mojej przyjaciółki. „Lustreczko, powiedz przecie...”. Mam ochotę dać jej zatrute rubinowe jabłko do ugryzienia i przywłaszczyć sobie

tę zdrową rumianą twarz. Przemieniłam się w złą czarownicę. W środku skręcam się ze wstydu.

– Wyglądam jak drag queen – stwierdzam i zanoszę się chrapliwym śmiechem.

– Nie! – protestuje Mak, cmokając, i oznajmia: – Wyglądasz wspaniale.

– Powinnaś mi zrobić makijaż pogrzebowy. Dać ludziom jakiś pretekst do śmiechu, gdy będą przechodzili koło mojej otwartej trumny – ironizuję.

Słyszac to, Mak robi naburmuszoną minę i nakazuje mi:

– Nie mów takich rzeczy. To wcale nie jest śmieszne.

– Myślisz, że ktoś z Bailey Heights przyjdzie na mój pogrzeb? – ciągnę przykry temat.

– Przestań, Lucy – ucisza mnie.

– Jeśli pogrzeb wypadnie w czasie lekcji, to pewnie niektórzy zgłoszą się na ochotnika, byle tylko urwać się ze szkoły – myślę głośno i zwracam się do Mak: – Nie zrozum mnie źle. Wiem, że ludzie nie czują do mnie złości. Żeby kogoś nie cierpieć, trzeba go najpierw zauważyć, a ja nie wywarłam wpływu na niczyje życie, no nie? Nie oczekuję, by nazwali moim imieniem bibliotekę czy coś w tym rodzaju.

– Może byś wreszcie przestała uważać się nad sobą? – warczy Mak.

Znowu przeszukuje torebkę, ignorując mnie, jakbym była nieznośnym, popisującym się małym dzieckiem.

– Przywiozłam ci ten nowy thriller, podobno jest rewelacyjny. – Sięga po mojego laptopa, ale łapie ją za rękę, bo chcę, aby mnie wysłuchała.

Nie mogę już znieść, że wszyscy unikają tematu mojej śmierci, więc mówię stanowczym tonem:

– Musimy o tym porozmawiać. To wkrótce nastąpi. Nie chcę umierać, Mak, ale nie zanoszę na żaden cud. Wiesz o tym, prawda?

Patrzy w podłogę i nie odpowiada.

– Teraz jest inaczej niż poprzednim razem. Czuję, że moje ciało się wyłącza – tłumaczę jej.

Mak gwałtownie potrząsa głową. Może jestem okrutna, ale skoro już zaczęłam, to nie mogę przestać mówić.

– Mam nietrzymanie moczu. Tracę nad wszystkim kontrolę. Założyli mi cewnik do pęcherza – opowiadam i unoszę prześcieradło, pokazując przymocowany do ramy łóżka worek z ciepłym żółtym płynem. – A to mój nowy najlepszy przyjaciel. – Potrząsam wycelowaną w Mak pompą infuzyjną. – Jedno naciśnięcie i ból zostaje opanowany... na chwilę. Powinnaś spróbować. Naprawdę jest odłotowo. – Chciałabym mówić spokojnym tonem, lecz moje słowa brzmią agresywnie. – Musisz mnie wysłuchać, Mak. Moi rodzice nie powstrzymają z własnej woli leczenia, ale będą musieli, bo jest bezcelowe. Nie mogę już wziąć więcej chemii. Jestem wyczerpana.

– Nie mów tak! – nakazuje mi Makayla, z której twarzy zniknęła wesołość. – Ty się łatwo nie poddajesz. Musisz nadal myśleć pozytywnie. Masz po prostu zły dzień. Jutro będzie lepiej. Musisz walczyć z tą rzeczą.

Wzbiera we mnie gniew.

– Gadasz bzdury, Mak – nacieram na nią. – „Walczę” z tą rzeczą od trzech lat, ale to jest choroba, a nie jakiś cholerny

przeciwnik. Niektórzy ludzie zdrowieją, inni żyją z nią latami, a jeszcze innych, jak mnie, zabija. Nie znaczy to, że nie dość dzielnie *walczyłam*. Nie każ mi się czuć jak ktoś, kto coś lekceważy. – Jestem rozemocjonowana. Pulsują mi pokłute żyły na rękach.

Mak zalewa się łzami. Sprawiałam, że moja najlepsza przyjaciółka się rozplakała, ale jakoś musiałam do niej dotrzeć.

– Przepraszam. Nie chciałam doprowadzić cię do takiego stanu. Jesteś najdzielniejszą osobą, jaką znam – wykrztusza.

Nie mogę powstrzymać gorzkiego śmiechu. Ja jestem najdzielniejszą osobą?! Chciałabym dać jej poznać moje przerażenie, które ujawnia się w najmniej oczekiwanych momentach: gdy ludzę się, że nad nim zapanowałam, lub gdy przenoszę się myślami w bezpieczne, spokojne miejsce, z dala od niego, tam, gdzie śmierć jest moją przyjaciółką. Niestety, gdybym zwierzyła się Mak z tego, co czuję, prześladowałoby ją to do końca życia, zepsuło każde szczęśliwe wydarzenie. Nie mogę jej tego zrobić, więc trzymam język za zębami.

– Czuję się taka bezużyteczna, Lucy. Powiedz mi, co mogę zrobić, aby ci pomóc? – pyta zdesperowana.

– Naprawdę chcesz mi pomóc? – upewniam się, wykorzystując szansę, jaką mi dała.

– Oczywiście, że tak! – potwierdza bez wahania.

– To porozmawiaj z moimi rodzicami – proszę ją. – Powiedz im, że dalsze leczenie jest czymś okrutnym wobec mnie. Bo oni nie przedłużają mojego życia, a jedynie moje umieranie.

– Oni wiedzą, co jest dla ciebie najlepsze – mamrocze Mak, zagryzając wargi.

Taka jest jej odpowiedź?! Spoglądam na nią z gniewem i pogardą. Tracę siły. Oblewa mnie gorący pot. Czuję, jak jego krople spływają mi z czoła do oczu. Robi mi się niedobrze. Wymiotuję. Mak wyjmuję spod łóżka miskę, ale jest już za późno. Zwracam na prześcieradło cuchnącą mieszaninę musu czekoladowego i żółci, która piecze mnie w gardło. Mak cofa się, zatykając nos i usta. Podaje mi wodę, która też wywołuje pieczenie w gardle, gdy ją przełykam.

– Zawolałam pielęgniarkę – mówi i rusza do drzwi, ale te się otwierają i do pokoju energicznym krokiem wchodzi moja mama.

– Nie ma takiej potrzeby. Posprzątam to – oznajmia z werwą.

Mama jest jak mój cień. Czyżby podsłuchiwała pod drzwiami i słyszała naszą rozmowę? Nie zdziwiłoby mnie to. Ta choroba jest dla mnie jak podwójny cios, bo rak niszczy mnie od środka, a mama zadusza od zewnątrz nadopiekuńczością. Gdy nieustannie się o mnie troszczy, czuję się jak bezwolna szmaciana lalka.

Zwija poplamione wymiocinami prześcieradło i wyciera mi pobrudzoną nimi brodę, jakbym była małą dziewczynką. Przy tym przewraca szaroniebieskimi oczami, udając, że jest sfrustrowana. Dlaczego ludzie traktują mnie jak dziecko? Rak szerzy spustoszenie w moim organizmie, ale umysł nadal mam sprawny.

Patrzę na nią załzawionymi oczami. Wciąż ubiera się tak, jakby szła do pracy: w drogą, szytą na miarę garsonkę

i buty na wysokich obcasach, które zostawiają na podłodze ślady. Jednocześnie ma zęby pobrudzone szminką. A gdy pochyla się nade mną, aby okryć mnie czystym prześcieradłem, dostrzegam w jej gładkim kasztanowym bobie pierwsze siwe włosy. Przed trzema laty nie wyszłaby z domu, nie wyglądając perfekcyjnie, ale to było, zanim zrezygnowała ze świetnej posady radczyni prawnej w firmie i została moją pełnoetatową opiekunką – jej wybór, nie mój. Kiedy miałam remisję, wróciła na kilka miesięcy do pracy, dzięki czemu wszyscy poczuliśmy się o wiele zdrowsi. Bo gdy ma na głowie tylko mnie, robi się nadopiekuńcza. To wszystko z mojej winy, gdyż stała się taka z powodu tej choroby.

Sytuacji nie ułatwia to, że tata całkowicie poświęcił się pracy. Chyba wpadł w obsesję zarabiania pieniędzy, choć zdobył już miliony. Najwyraźniej on i mama są przekonani, że tworzą drużynę marzeń. Ona wyszukuje najnowsze eksperymentalne metody leczenia raka, a on gwarantuje, że zostaną wypróbowane na mnie. Niczym Święty Mikołaj mówi do niej:

– Śmiało, wybierz, co chcesz.

Niestety, problem tkwi w tym, że nie można kupić kuracji, która nie została jeszcze opracowana. Z dotychczasowych nic nie działa, lecz oni oboje nie przyjmują tego do wiadomości. Próbuję rozmawiać z tatą i przekonać go, że wolalabym raczej spędzić czas, jaki mi jeszcze został, z nimi i cieszyć się byciem razem, by mieli co wspominać, gdy mnie już nie będzie. Jednak on tylko patrzy na mnie zdziwiony i mówi:

– Mieliśmy całe lata na to, by zgromadzić wspomnienia, Kochanie. Muszę zarabiać pieniądze, abys mogła wyzdrowieć.

Dzięki pieniądзом z firmy taty zarządzającej funduszem hedgingowym mogłam się znaleźć w klinice na pustkowiu pod opieką jej właściciela, Leonarda Radnora, który chce, by go nazywać doktorem Leo. Wcześniej byłam u tylu lekarzy, że już straciłam rachubę, ilu ich się przewinęło. Ten ostatni jest czarujący i przystojny, w typie atrakcyjnego starszego pana. Wygląda na takiego, który odnosi sukcesy, ale nie rozumiem, dlaczego mama traktuje go jak Boga, podczas gdy w rzeczywistości jest tylko kolejną osobą, która nie pozwala mi mówić o umieraniu.

– Skup się na pozytywach, Lucy – nakłania mnie. – To prawda, że nowotwór atakuje kolejne miejsca, ale mimo to warto podjąć agresywną kurację, gdyż dzięki temu zyskujemy więcej czasu.

Więcej czasu na co? Na mój strach przed tym, że nie zapanują nad bólem, jaki czuję? Na pracę taty przez siedem dni w tygodniu? Na płonną nadzieję mamy, że wyzdrowieję? Podobno doktor Leo jest specjalistą. Skoro tak, dlaczego nie mówi nam całej prawdy? Czy po prostu próbuje wyciągnąć tyle pieniędzy, ile się da, od bogatych i zdesperowanych rodziców?

Gdy mama rozkłada czyste prześcieradło, Mak stoi za nią. Widać, że czuje się niezręcznie.

– Przepraszam, pani Burgess, dałam Lucy trochę musu czekoladowego – wyznaje skruszona.

– Nie ma się czym przejmować. Nic się nie stało – pociesza ją mama z wymuszonym uśmiechem.

– Mak? – zwracam się do niej z błagalnym spojrzeniem, chcąc, by przemówiła mamie do rozsądku.

Niestety, moja przyjaciółka jest zakłopotana. Wierci się, jakby chciała jak najszybciej się stąd wynieść i nie zamierzała mi pomóc.

– Muszę już iść – oświadcza. – Za trzy godziny mam lot, a strasznie długo jedzie się stąd na lotnisko. Jutro wybieramy się na szkolną wycieczkę. Jest obowiązkowa. W przeciwnym razie nie pojechałabym. – Patrzy na mnie ze skruchą, choć nie za to powinna mnie przeprosić, i obiecuje: – Zjawię się tu za pięć dni.

– Za pięć dni?! – powtarzam zatrwożona.

– Jasne.

– Ale ja mogę nie mieć pięciu dni.

Mak wygląda na przerażoną, mimo to mówi:

– Nie bądź niemądra. Daj mi całusa i powiedz *arrivederci*.

Wymyśliła, że jeśli powiemy sobie „do zobaczenia”, a nie „żegnaj”, to nie umrę i będzie mogła mnie znowu odwiedzić. Taką ma strategię mojego przetrwania. Niestety, już nie mogę sobie pozwolić na tę zabawę, więc proszę:

– Nie mów *arrivederci*, tylko „żegnaj”, Mak.

– Przecież nie mówimy sobie „żegnaj”. *Arrivederci*, Lucy... A teraz ty mi to powiedz! – woła przestraszona.

Milczę.

– Proszę! – błaga.

Mama podchodzi do niej, obejmuje ją i unosi jej głowę, aby mogły spojrzeć sobie w oczy.

– Makaylo, skarbie, Lucy nie chce być dla ciebie niemiła – perswaduje jej łagodnym tonem. – Ma rację. Powinnaś jej powiedzieć „do widzenia”.

Jestem zszokowana tymi słowami.

– Nie, pani Burgess – protestuje Mak.

– Tak – odpowiada mama stanowczym tonem.

Lzy napływają Makayli do oczu. Wyrывa się z uścisku mojej mamy i pochyla nade mną, żeby mnie pocałować.

– *Arrivederci*, Lucy. *Zobaczmy* się za pięć dni – zapewnia mnie, zbiera swoje rzeczy, posyła mamie wściekle spojrzenie i pospiesznie wychodzi z pokoju.

– Mamo? – domagam się wyjaśnień.

Nie odpowiada, lecz po raz pierwszy milcząco przyznaje, że jestem umierająca. Desperacko chciałam, aby to potwierdziła, ale teraz, gdy to zrobiła, uderza mnie, że zniknęła dla mnie wszelka nadzieja. Wpadam w panikę. Czuję przypływ dokuczliwego bólu w kruszącym się kręgosłupie. Krzyczę, sięgając na oślep po pompę infuzyjną. Mama bierze ją do ręki i naciska, a następnie w milczeniu ściska moją dłoń. Jest tyle rzeczy, o których powinniśmy porozmawiać, o których chciałabym jej powiedzieć. Niestety, nie mogę, bo jestem rozkojarzona.

Coś weszło do pokoju. Jest pozbawione formy, a mimo to coraz silniej czuję jego obecność. Jest nieopisanie piękne. Przepelnia mnie radość. Słyszę, jak lkam ze szczęścia, gdy nagle podnosi się ze mnie jakiś wielki ciężar, a ja przemieszczam się do jego środka. Spoglądam w dół i widzę na łóżku swoje martwe ciało. Nie czuję już ani bólu, ani strachu. Nie ma choroby i cierpienia, jest tylko stan euforii. Jestem wolna.

ROZDZIAŁ 2

OTWÓRZ OCZY

– Otwórz oczy, Lucy.

Rozpoznaję ten głos.

– Lucy, słyszysz mnie? Proszę, otwórz oczy.

To doktor Leo.

– Lucy! – mówi władczym tonem. – Zrób, o co proszę, i otwórz oczy.

Otwieram, ale nic nie widzę. Dlaczego?

– Zmniejszyć sedację.

Do kogo on to mówi?

– Lucy, otwórz oczy – zwraca się do mnie po raz kolejny.

Staram się, lecz nie mogę. Myślę, że wciąż je otwieram. Najwyraźniej nadal są zamknięte. Wyobrażam sobie, że otwieram je tak szeroko jak oczy sowy. Niestety, nie udaje mi się unieść powiek.

Nagle staję się bardziej świadoma, jakbym została wyrwana ze stuletniego snu. Słyszę szuranie nogami, piski

i syki aparatury medycznej. Czuję coś twardego wokół ust i nosa.

– Sedacja przestaje działać. Jest ruch gałki ocznej. Podaj mi latarkę – słyszę inny głos, kobiecy.

Nieoczekiwanie otaczający mnie mrok ustępuje miejsca nieprzyjemnej jasności, a pod powiekami zaczynają mi wirować białe plamy.

– Lucy, otwórz oczy! – ponagla mnie doktor Leo.

„Otwórzcie się – mówię błagalnie w myślach. – Muszę zobaczyć, co się ze mną dzieje. No dalej, już, już, już!”. Zaczynam jak szalona mrugać powiekami, niczym zraniony motyl skrzydłami, chcący wzbić się do lotu. Otwieram oczy i słyszę dookoła podekscytowane głosy.

– Otworzyła! – wykrzykuje entuzjastycznie kobieta, która odezwała się wcześniej.

Niestety, widzę tylko niebieskie rozmazane obrazy oświetlone białym światłem. I wyczuwam obecność zgromadzonych wokół mnie ludzi. Chcę wstać, lecz coś trzyma mnie za głowę.

– Lucy, to ja, doktor Leo. Nie wolno ci się ruszać. – Słyszę dochodzący z tyłu jego głos. – Masz na twarzy maskę tlenową. Zasłania ci usta i nos, ale mimo to powinnaś móc się komunikować. Jeśli rozumiesz, co do ciebie mówię, powiedz: „Tak”.

Nie mogę. Mam odrętwiałe usta. Zagryzam dolną wargę, lecz niczego nie czuję. Skóra twarzy jest nieprzyjemnie napięta i naciągnięta. Za każdym razem gdy próbuję wydobyć z siebie dźwięk, przeszywa mnie ból, jakbym miała w gardle odłamki szkła.

– Próbuje coś powiedzieć – relacjonuje kobieta.

– Nie spiesz się, Lucy. Po prostu powiedz: „Tak” – zachęca mnie doktor Leo.

Pomimo bólu gardła ponawiam próbę i w końcu udaje mi się chrząknąć. Wszyscy robią gwałtowny wdech.

– Okej, dobra robota, Lucy. Nie martw się. Liczy się to, że wydałaś z siebie dźwięk – chwali mnie zachwycony doktor Leo.

Ale dlaczego? Gdy odzyskałam przytomność po poprzedniej jej utracie, potrafiłam mówić i widziałam normalnie! Co mi się stało? Kiedy zdarzyło mi się to ostatnim razem, czułam, że umieram. Czyżby mnie reanimowali? Dlaczego to zrobili? Mama im kazała?

– Jakie ma ciśnienie i tętno? – pyta doktor Leo.

– Stabilne – słyszy w odpowiedzi.

– Kontrola czasu – wydaje polecenie.

– Czas operacji wynosi trzydzieści sześć godzin i dwadzieścia cztery minuty – słyszy w odpowiedzi.

Operacji? To nie może być prawda. Co oni mi robią? – zastanawiam się.

– Okej. Musimy teraz działać szybciej: sprawdzić podstawowe funkcje i zaznaczyć obszar mózgu odpowiadający za elokwencję. Znaczniki gotowe? – pyta doktor Leo.

– Tak, panie doktorze – słyszy w odpowiedzi.

– To zaczynajmy. Lucy, mrugnij okiem, gdy coś zobaczysz – poleca mi doktor Leo.

Z każdą minutą widzę coraz wyraźniej. Rozmazane kształty stają się bardziej bryłowate. Nie dostrzegam szczegółów, jednak widzę, że w sali jest pełno ludzi ubranych w niebieskie stroje operacyjne i maski. Mam uniesioną i zwróconą w bok głowę, ale ponad maską tlenową widzę, że

leżę przykryta prześcieradłem na stole operacyjnym. Gdy mrugam okiem, jeden ze stojących przede mną lekarzy wydaje okrzyk radości.

– Proszę was, nie świętujcie przedwcześnie – mówi na to doktor Leo. – Mamy przed sobą jeszcze długą drogę.

Nagle wszyscy znikają i pojawia się przy mnie Mak. Trzyma mnie za rękę i uśmiecha się szeroko. Na jej widok czuję ulgę. Co oni mi robią, Mak? Musisz mi pomóc się stąd wydostać – mówię do niej. Nie odpowiada, tylko zaczyna się histerycznie śmiać. Odchyła głowę do tyłu i łapie oddech, jakbym powiedziała coś najzabawniejszego na świecie. Przestań, Mak! Przestań! Dlaczego nie chcesz mi pomóc?! – krzyczę, ale ona znika i ogarnia mnie ciemność.

– Lucy... Lucy? – mówi do mnie ta sama kobieta i informuje doktora Leo: – Otworzyła oczy. Powróciła do rzeczywistości.

– Utrzymajmy ją w tym stanie. Nie może zapadać w drzemkę. Ogranicz sedację do minimum – poleca jej lekarz.

Gdzie są moi rodzice? – zastanawiam się. Chcę ich zobaczyć. Boję się.

– Lucy, staraj się ze wszystkich sił nie zasnąć, dobrze? – prosi mnie łagodnym głosem doktor Radnor. – To nie potrwa już zbyt długo.

Co nie potrwa już zbyt długo? I co potem nastąpi? – zadaję sobie pytania.

– Okej, kontynuujemy pracę. Zaczynam od ustabilizowania zdolności motorycznych pacjentki – wydaje dyspozycję.

Czuję, że jakaś aparatura bada moją głowę. Na szczęście to bezbolesne, choć drgają mi palce u ręk.

– Jest ruch palców – raportuje jeden z członków zespołu.

– Tak – potwierdza doktor Radnor. – Widzę na monitorze. Znaleźliśmy właściwy obszar, lecz potrzebujemy czegoś więcej niż wywołanie odruchowej reakcji. – Po tych słowach mówi: – A teraz, Lucy, unieś prawą rękę. Czy możesz to dla mnie zrobić?

Spoglądam na rękę. W miejscu, gdzie igła od kroplówki wbija się w żyłę, skóra jest nabrzmiąta i zaczerwieniona. Próbuję unieść rękę. Niestety, nie reaguje, jakby w ogóle nie była przyczepiona do mojego ramienia. Nie mogę nią poruszyć. Nagle czuję szarpnięcie i nacisk na głowę.

– Spróbuj ponownie – poleca mi doktor Radnor.

Świdruję rękę spojrzeniem, pragnąc to zrobić. Zaczynam czuć w niej mrowienie, jakby powracała do życia. Unoszę ją nieznacznie, mając wrażenie, że lewituje. Dotykam palcami przezroczystego plastikowego prześcieradła, które wydaje się zawieszone wokół mnie. Próbuję sięgnąć dalej. Jednak nie mogę, bo coś ściska mi głowę.

– Wspaniale, Lucy, ale staraj się nie ruszać głową – chwali mnie doktor Leo i pyta: – Czy teraz odczuwasz coś w stopach?

Gdy to mówi, czuję ukłucia w podeszwy. Próbuję powiedzieć „tak”, ale wydaję z siebie tylko warknięcie.

– Dobrze. Pielęgniarka właśnie ukłuła cię w nie igłą, aby sprawdzić czucie. Teraz zrobi to w okolicy szyi. Chciałbym, żebyś poruszyła palcami u nóg, okej? – wydaje mi kolejne polecenie.

Palce mojej nogi drżą, a po chwili zaczynają podrygiwać. Na bloku operacyjnym rozlega się radosny śmiech.

– Oznaczmy ten rejon. Grzeczna dziewczynka. Dobrze sobie radzisz. A teraz sprawdzimy poruszanie prawą nogą – kontynuuje doktor Leo.

Czym innym jest poruszać palcami, a czym innym nogą. Żeby doszło do tego drugiego, musiałby chyba wydarzyć się cud. Próbuje kilka razy, lecz noga ani drgnie. Dyszę tak, że moja maska tlenowa pokrywa się parą. Może za długo mnie reanimowali i przez to mózg został uszkodzony? Stał się niesprawny? Czy mnie „naprawiają” i dlatego spędzam ostatnich kilka dni na tym świecie uwięziona w pokawałkowanym ciele? Dlaczego moi rodzice im na to pozwalają?

Na bloku operacyjnym panuje wielkie napięcie. Członkowie zespołu niepewnie spoglądają to na monitor, to na moją nogę pod prześcieradłem. Ale doktor Leo się nie poddaje. Po każdej z moich prób pociąga mnie za kark i coś sprawdza, każąc mi wykonać czynność ponownie. Jestem wyczerpana i chce mi się spać, mimo to on domaga się ode mnie działania.

– Spróbuj jeszcze raz – poleca mi chyba po raz setny.

Tym razem mi się udaje i wraz z nogą poruszam prześcieradłem. W sali rozlega się aplauz. Ludzie przybijają piątki. Zastanawiam się, dlaczego są tak podekscytowani. Czyżby doktor Leo mnie wyleczył? Uwolnił od raka?

– Dopóki jej stan jest stabilny, powinniśmy sprawdzić jeszcze inne funkcje – oznajmia Radnor.

Zaczynam się czuć jak małpa w cyrku. Nie chcę już robić nic więcej. Pragnę tylko, by zostawili mnie w spokoju.

Bardzo chce mi się spać. Ludzie przybliżają się do mnie, sprawdzając monitory i poprawiając kropłówkę. Dostrzegam stojący obok mojego drugi stół operacyjny. Leży na nim coś przykryte prześcieradłem. Wytężam wzrok, starając się to coś rozpoznać. Od strony głowy prześcieradło jest nasiąknięte krwią, która kapiąc na podłogę, zamieniła się w ciemnoczerwony skrzep. Co się dzieje? – zastanawiam się. Dlaczego nikt nie chce mi powiedzieć, z jakiego powodu mnie operują? Gdzie moi rodzice? Muszę się stąd wydostać!

Zmuszam się do pochylenia głowy do przodu, choć to niczemu nie służy, ponieważ nogi ledwie drgają, gdy chcę się rzucić do ucieczki. Pragnę, by ci ludzie przestali się mną zajmować. Krzyczę na nich, lecz z mojego gardła wydobywa się tylko rozpaczliwe kwiczenie, jakbym była prowadzonym na rzeź prosiakiem.

– Jej tętno gwałtownie przyspiesza, a ciśnienie spada. Zaraz wpadnie we wstrząs! – niepokoi się doktor Leo.

Wydaje mi się, że lada moment serce wyskoczy mi z piersi. Wszystko wokół mnie zaczyna wirować. Czuję się jak Alicja wpadająca do króliczej nory. Słyszę wydawane nerwowo polecenia. Na bloku operacyjnym wybucha panika.

– Przeprowadzanie dalszej oceny jest zbyt niebezpieczne. Stracimy ją. Natychmiast wyłączyć jej świadomość i będziemy zamykać – poleca doktor Leo.

Czuję, jak do moich żył wtłaczają jakiś płyn. Nie mogę im pozwolić mnie uśpić. Co jeszcze mi zrobią? Staram się nie zamykać oczu, choć moje powieki są ciężkie jak ołów. Muszę pozostać w stanie czuwania. Muszę... pozostać...

ROZDZIAŁ 3

S P O C Z Y W A J W P O K O J U

Przed otwartym grobem stoi namiot. W środku tłum siedzących w rzędach ludzi. Wiatr wydyma go tak mocno, że panie przytrzymują dłońmi czarne kapelusze, aby nagły podmuch nie zerwał ich z głów. Zebrani wstrzymują oddech, gdy wiatr potrząsa ogromnym zdjęciem dziewczyny zawieszonym obok zamkniętej trumny. Rozlegają się kościelne hymny.

Z przodu siedzi starsza pani. Wspiera się na ramieniu olśniewającej kobiety w średnim wieku. Po każdej modlitwie pastora mówi „amen” głosem bardziej donośnym niż inni.

Mak stoi z zaciśniętymi ustami z dala od wszystkich. Nie ma ochoty śpiewać na cześć kogoś, kto zabrał jej przyjaciółkę.

Gdy karawaniarze zdejmują trumnę z katafalku i stawiają ją na belkach nad otwartym grobem, pastor mówi o odkupieniu

grzechów. Bierze głęboki wdech i wygłasza słowa z modlitewnika: „Z prochu powstałaś i w proch się obrócisz, z niezawodną i pewną nadzieją zmartwychwstania do życia wiecznego, przez naszego Pana Jezusa Chrystusa, który przemieni ziemskie ciała, aby były zgodne z jego ciałem niebieskim!”¹.

Po chwili karawaniarze wyciągają spod trumny belki i powoli opuszczają ją na sznurach do grobu. Makaylą wstrząsa bezgłośnie łkanie. Obserwuje, jak babcia zmarłej dziewczyny szlocha, kurczowo trzymając się córki, a ta wyciąga rękę, chcąc dotknąć swojego męża, lecz on odsuwa się od niej z kamienną twarzą. Wierni powoli przesuwają się w stronę grobu, by ofiarować w intencji zmarłej cichą modlitwę i rzucić na jej trumnę bryłkę ziemi. Śpiewają kolejną pieśń.

Makayla też tam podchodzi, ale zaczyna się wahać.

– Trzymaj się, kochanie! – dodaje jej otuchy mama.

Dziewczyna zagląda do grobu, lecz wieko trumny jest już przysypane ziemią. Dostaje mdłości.

– Nie mogę – mówi i pospiesznie oddala się od namiotu.

1 Modlitwa jest swobodną kompilacją zwrotów zaczerpniętych z Biblii (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 4

PRZEBUDZENIE

Potwornie boli mnie głowa. Czyżby doktor Leo nadal mnie operował? A może środek znieczulający przestał działać? O Boże, muszę powstrzymać tego człowieka! Otwieram gwałtownie oczy. Wszystko jest rozmazane, ale staram się zachować spokój, licząc na to, że po chwili będę widzieć wyraźnie. I rzeczywiście, powoli ukazuje się moim oczom łagodnie oświetlony pokój z oknem, za którym jest ciemno. Czyżby na dworze panował mrok? Już jest noc? Jak długo byłam nieprzytomna? Ile godzin? Dni? Tygodni?

Jestem teraz w łóżku, lecz nagle przypominam sobie stół operacyjny z leżącym na nim kształtem przykrytym poplamionym krwią prześcieradłem i kałużą zastygłej na posadzce krwi. Zaciskam oczy, żeby pozbyć się z pamięci tego widoku. Czuję się dziwnie, lecz nie powinnam wpaść w panikę. Po prostu muszę porozmawiać z doktorem Leo. On mi wytłumaczy, co się stało. I powinnam przyjrzeć

się miejscu, w którym jestem, zwłaszcza że moja głowa nie jest już unieruchomiona. Mogę nią poruszać, choć przy najdrobniejszej zmianie pozycji czuję się tak, jakby ktoś uderzył mnie młotkiem w czaszkę.

Wygląda na to, że nadal przebywam w klinice. Znam ten pokój, tyle że obecnie jestem podłączona do licznych stojących przy łóżku monitorów. Sprawdzam ręce. Nadal nie wyglądają dobrze, choć zniknęły obrzmienia i zaczerwienienia skóry wokół miejsc wkłuć dożylnych, pomimo że wciąż jestem podłączona do kroplówek. Na twarzy nie mam już maski tlenowej, ale gdy wciągam do płuc ciepłe powietrze, czuję ból. Na oparciu stojącego przy łóżku krzesła dostrzegam szal mamy. To dobrze. Czuję wielką ulgę. Mama tu jest, troszczy się o mnie i dba o moje bezpieczeństwo.

Wcisgam przycisk w ścianie. Niestety, pozostaje nieruchomy... Tylko wyobraziłam sobie tę czynność. Muszę go dotknąć. Koncentruję uwagę na ręce i wprawiam palce w ruch. Skupiam się jeszcze mocniej i zaczynam unosić rękę. Wyciągam ją, chcąc wcisnąć przycisk, jednak z powodu wykonania tego ruchu robi mi się słabo. Zaraz zwymiotuję! Powinna usiąść. Próbuję się podnieść, ale bołą mnie mięśnie. Czuję się tak, jakby przejechał mnie pociąg. Nie dam rady. Leżę sztywno i patrzę w sufit, starając się nie dopuścić do torsji.

Teraz zauważam mrugające czerwone światło kamery zamontowanej u góry w rogu pokoju. Wpadam w panikę i próbuję krzyknąć, ale z moich ust wydobywa się zaledwie chrząknięcie. Co się ze mną stało? Mam uszkodzony mózg? Jestem po udarze? Czy dlatego prawie nie mogę się poruszać i mówić?

Drzwi się otwierają i do pokoju wchodzi doktor Leo, a za nim członkowie jego zespołu i moi rodzice, na których widok zaczynam płakać.

Lekarz uśmiecha się do mnie radośnie.

– Wspaniale, że się obudziłaś! – wykrzykuje i zachęca współpracowników, aby podeszli bliżej i mnie obejrzelili: – Zwróćcie uwagę na jej łzy i reakcję emocjonalną. Układ limbiczny funkcjonuje prawidłowo i nie widać oznak uszkodzenia nerwów twarzowych.

Mama wysuwa się do przodu i siada na łóżku. Wygląda strasznie, jakby nie przespała wielu nocy. Porusza drżącą dłonią nad moimi policzkami, ale mnie nie dotyka. Przygląda mi się uważnie, aż zaczynam się bać.

– Czy wiesz, kim jestem? – pyta drżącym głosem.

Dlaczego mnie o to pyta? – zastanawiam się. Oczywiście, że wiem, kim jest.

– Mamą – wydobywam z siebie.

– Tak, tak, jestem mamą – potwierdza i ze łzami w oczach pyta, wskazując dłonią tatę, który stoi z tyłu i wpatruje się w podłogę: – A to kto jest?

– Tata – odpowiadam, brzmi to niewyraźnie.

– Tak, tata. Och, Lucy, moja Lucy! – wykrzykuje mama i delikatnie całuje mnie w policzek.

Na pewno dostrzega malujący się na mojej twarzy strach. Muszę wiedzieć, o co tu chodzi. Powiedz mi, co się stało! – żądam w myślach. Wówczas pochyla się nade mną doktor Leo, uśmiecha się, jakby chciał mnie uspokoić, i mówi:

– Rozumiem, że jesteś zdezorientowana i mocno przestraszona, ale zapewniam cię, że wszystko będzie dobrze. Przez jakiś

czas byłaś w śpiączce farmakologicznej, aby móc łatwiej powrócić do zdrowia. Rozumiesz, przeszłaś poważną operację... pionierską... lecz wszyscy z optymizmem czekamy na jej rezultaty.

Jak on może tak mówić? Czy mnie nie widzi? Z pewnością jestem w gorszym stanie, niż byłam przed tą operacją.

– Nie martw się – oznajmia łagodnym tonem. – Jestem przekonany, że odzyskasz głos, a także pełną sprawność ruchową. Przeprowadziliśmy operację nie po to, by przedłużyć ci funkcjonowanie zaledwie o kilka tygodni czy miesięcy, lecz aby dać ci nowe życie, a dzięki rehabilitacji będziesz coraz silniejsza.

– Jakim cudem? Mam przecież raka! – stękam ze złością. Doktor Leo kłamie, gdyż moja choroba jest śmiertelna. Czyżby przeprowadził tę bezsensowną operację, aby podtrzymać u moich rodziców nadzieję, że odzyskam zdrowie?

Kręci głową podekscytowany, co widać w wyrazie jego piwnych oczu za okularami bez oprawek, i wyjaśnia:

– Kiedy byłaś w śpiączce i... zdrowiałaś, zrobiliśmy ci USG i inne badania. Dlatego zapewniam, że nie masz już raka. Wszystko poszło doskonale.

Gwałtownie wciągam powietrze do płuc. To nie może być prawda. Patrzę na mamę i tatę w oczekiwaniu, by potwierdzili jego słowa. Mama wygląda na uszczęśliwioną, tata natomiast ma tak poważną minę, jakby doktor Leo przekazał mi złą wiadomość.

– To prawda, kochanie. Nie jesteś już chora – mówi mama z entuzjazmem. – Doktor Radnor dokonał cudu.

Patrzę na niego z podziwem i znowu zaczynam płakać. Nie mogę wydobyć z siebie słowa, choć nawet gdybym

mogła, nie potrafiłabym wyrazić mojej wdzięczności dla niego. Czuję wielką ulgę, że jestem wolna od choroby, która zabrała mi kilka lat życia, narażając mnie na wielki ból i strach. W jaki sposób podziękuję człowiekowi, który uchronił mnie przed śmiercią?

– W porządku. Nie musisz nic mówić. – Doktor dotyka mojej ręki i dodaje: – Teraz przez chwilę będziesz czuła ból.
– Przyciska guzik na jednym z urządzeń.

Pod wpływem podawanego mi leku zapadam w sen.

Mama pochyla się nade mną, całuje mnie i zapewnia:

– Będziemy tu, kiedy się obudzisz.

– Powiedz Mak! Powiedz babci! – proszę z uśmiechem, aby łatwiej było jej zrozumieć moje słowa, ale chyba do niej nie dotarły, ponieważ nagle strasznie posmutniała.

ROZDZIAŁ 5

DZIEWCZYNA ZZA OKNA

Ktoś pociera moją rękę i głaszczę mnie po policzku. To delikatne dłonie mojej mamy.

– Lucy, Lucy – szepcze mi do ucha.

Czyżbym zasnęła do szkoły? Lepiej od razu wstanę. Ale gdy otwieram oczy i rozglądam się dookoła, jestem zdezorientowana. Znajduję się nie w mojej sypialni, lecz nadal w klinice. Zarazem serce mi rośnie na wspomnienie słów doktora Leo, że nie jestem już chora na raka, że odzyskałam zdrowie.

Teraz stoi przy mnie, spoglądając, podobnie jak jego współpracownicy, na piszczące monitory, a mama siedzi na krześle i się uśmiecha.

– Ucięłaś sobie długą drzemkę, młoda damo – żartuje.

Straciłam poczucie czasu, choć wydaje mi się, że mama jest ubrana inaczej niż poprzednio. Tak jak wtedy, za oknem panuje mrok.

– Dziś wyglądasz zdecydowanie lepiej – mówi do mnie i zwraca się do taty: – Prawda, Lewis? – Przywołuje go skiniem dłoni, jednak on nie rusza się z miejsca. Jest jak zwykle doskonale ubrany, lecz ma zaczerwienione oczy i wygląda na spiętego. Wydaje się, że wolałby być wszędzie indziej, byle nie tu.

Wpatruję się w niego, żałując, że nie podszedł. Chciałabym, aby podniósł mnie na duchu. Nie rozumiem, dlaczego jest taki przygnębiony.

Spoglądam na swoją sylwetkę. Wydaje mi się, że jestem... większa niż dotychczas. Najwyraźniej moje wychudzone ciało nabrzmiało z powodu zażywanych leków. Doświadczalam tego już wcześniej, kiedy pod ich wpływem rosło jak balon, a następnie się zapadało.

– Witam ponownie – odzywa się wesoło doktor Leo. – Posadzimy cię. – I każe to zrobić swoim współpracownikom.

Gdy mnie podnoszą, czuję ból, zwłaszcza głowy, jakby ktoś dźgał mnie w czaszkę.

– Nasza fizjoterapeutka, Kate, pracowała nad twoim ciałem, kiedy byłaś w śpiączce. Mówi, że pozytywnie reagowało – informuje mnie doktor Leo.

Krzywię się, gdyż nie podoba mi się pomysł, aby ktoś „pracował nad moim ciałem”, kiedy jestem tego nieświadoma – nie wiem, co ze mną robią, i nie mogę przeciwko temu zaprotestować.

– Czujesz ból? – pyta doktor Leo.

– Ta-ak – wystękuje.

Podnoszę ręce bez specjalnego wysiłku i kładę je na mojej łysej głowie. Badając ją palcami, gwałtownie wciągam po-

wietrze do płuc, gdyż wymacuję tam kłamry, także na karku, wzdłuż kręgosłupa. Na myśl, że doktor Leo najwyraźniej dokonał trepanacji czaszki, przeszywa mnie dreszcz. Nie mam odwagi wyobrazić sobie, jak obecnie ona wygląda.

– Dlaczego? – pytam bardziej już ludzkim głosem o powód trepanacji.

Mama się waha i patrzy wymownie na doktora Leo, chcąc, by to on udzielił mi odpowiedzi. Następnie się cofa, a on wysuwa się przed nią.

– To była najważniejsza część operacji – odpowiada lekarz, nalewając wody do kubka i stawiając go na stoliku w zasięgu mojej ręki. – Dostrzegam poprawę twojego głosu, ale powinnaś nawilżyć gardło. Sięgnij po kubek.

Muszę odzyskać głos, zrozumieć, co się stało, więc robię, co mi każe, choć moje ciało stawia opór. Gdy wykonuję tę czynność, lekarz najwyraźniej mnie ocenia. Najpierw nie trafiaam dłonią w kubek, a potem go potrącam, więc przewraca się i woda wylewa się na podłogę.

– Nie przejmuj się tym – mówi, ponownie napełniając kubek. – Prawą ręką będzie ci łatwiej.

Ale ja jestem leworęczna, więc uważam, że będzie mi trudniej. Mimo to skupiam się i chwytam kubek prawą ręką. Rzeczywiście jest łatwiej. Skąd on to wiedział?

Zadowolony kiwa głową. Otwiera szafkę z lekami w rogu pokoju, wyjmując z niej dwie małe pastylki i mówi do mnie:

– Połknij je i popij wodą. To silne środki przeciwbólowe. Uśmierzą twój ból głowy. Po operacji mózgu pacjent może początkowo odczuwać spory dyskomfort, ale dzięki

tym pastylkom potrafimy nad nim panować, dopóki sytuacja nie wróci do normy.

Z wahaniem wkładam jedną pastylkę do ust i wypijam łyk wody. Ale tabletkę utyka mi w gardle niczym kamyk, więc w panice wypijam więcej wody. Gdy udaje mi się ją przełknąć, kaszlę i chrypię.

– Dobrze – mówi doktor Leo. – A teraz zażyj następną. Przekonasz się, że pójdzie ci łatwiej.

Ma rację. Ta druga bez problemów przechodzi mi przez gardło.

Mama patrzy na mnie rozpromieniona i chwali mnie:

– Dobrze sobie radzisz, kochanie.

– Myślę, że powinnaś się przejść – oznajmia doktor Leo.

– Kate poddała cię bardzo skutecznej fizjoterapii, ale im dłużej będziesz leżała w łóżku, tym większe prawdopodobieństwo, że w żyłach zrobią ci się zakrzepy.

Chyba nie oczekuje, żebym wstała? Nie jestem jeszcze na to gotowa! Spoglądam w panice na mamę, lecz ona się uśmiecha i kiwa głową.

– Nie ma się czego bać. Nie prosiłbym cię o to, gdybym nie uważał, że dasz radę chodzić – zachęca doktor Leo, pochylając się nade mną, i ostrożnie odłącza mnie od kroplówek, a następnie od monitorów. Ściąga ze mnie prześcieradło i powoli opuszcza moje nogi z łóżka, tak że po chwili znajdują się tuż nad podłogą.

– Okej, stań! Przytrzymam cię, jeśli będzie trzeba – obiecuje.

Gdy ubrana w szpitalną koszulę stawiam stopy na podłodze, wszyscy w pokoju wstrzymują oddech. Odpycham

się rękami od materaca i wstaję z łóżka. Po chwili znowu siadam, złana potem.

Doktor Leo cmoka rozbawiony, widząc, jaka jestem sfrustrowana.

– Nie poddawaj się, zanim jeszcze nie zaczęłaś chodzić – mówi, bierze mnie za ręce i stawia na podłodze. Po długiej chwili mnie puszcza, a gdy pochylam się do przodu, woła: – Wyprostuj się!

Ma rację, gdyż jestem zgarbiona jak staruszka. Odchylam więc ramiona do tyłu i patrzę przed siebie, choć oddychanie staje się bolesne. Ale tak jest lepiej, jakby mój kręgosłup wskoczył na właściwe miejsce. Wow!

– Dobrze. A teraz zrób krok w moją stronę – poleca.

Chcę iść. Niestety, moje stopy stoją w miejscu, więc lekarz mnie podtrzymuje, żebym nie upadła.

– Każ im ruszyć do przodu – mówi.

Patrzę na niego zdezorientowana.

– Musisz w głowie wydać stopom polecenie, by to zrobiły – tłumaczy.

Puszcza mnie i powoli znowu staję prosto. Z czoła spływa mi do oczu pot. Czuję go również pod pachami.

„Potrafię... to... zrobić” – mówię do siebie w myślach i wyobrażam sobie obie stopy, jak wykonują ruchy. „Prawa stopa krok do przodu”. Podekscytowana patrzę, jak wykonuje ruch. „Lewa stopa krok do przodu”. Również ona wykonuje ruch. „A teraz obie stopy idą!”. Ruszam z miejsca. Chwieję się i łapię równowagę, jakbym znajdowała się w łódce w czasie gwałtownej burzy. Instynktownie wyciągam ręce do przodu, na wypadek gdybym miała upaść, ale nogi stoją sztywno jak metalowe pręty.

Doktor Leo idzie przodem do mnie, cofając się z wyciągniętymi rękami, jak ojciec uczący dziecko chodzić.

– Rozluźnij kolana. Zegnij je. Powiedz im, co mają robić. Przejmij nad nimi kontrolę – instruuje mnie.

„Przejmij kontrolę! Przejmij kontrolę!”. Mówię moim słowom, aby nie były takie sztywne, a mięśniom, aby się rozluźniły. I od razu przestają szurać, lecz zaczynam odrywać stopy od podłogi. Niestety, nadal się chwieję i wpadam na mamę, ale ona przesuwa mnie z powrotem na moją trasę, jakbym była gokartem. Z każdym kolejnym krokiem moje napięte i obolałe mięśnie stają się bardziej elastyczne. Nawet ból głowy słabnie. Idę coraz pewniej i okrążam pokój, bardzo tym podekscytowana. Skoro tak szybko robię postępy, to łatwo sobie wyobrazić, jaka będę sprawna po zajęciach z fizjoterapii i ćwiczeniach fizycznych. Na myśl o tym zaczynam się śmiać, choć czuję napięcie mięśni klatki piersiowej, a z mojego gardła wydobywa się coś przypominającego gęganie. Mama też zaczyna śmiać się i płakać z radości.

– Lewis! Lewis! Spójrz na nią. To niewiarygodne, prawda? – zwraca się do taty, lecz on nadal jest tak bardzo poważny i spięty, że nie mogę tego znieść.

Muszę go uściskać. Powinien wiedzieć, że wszystko ze mną w porządku. Nie będzie już musiał przejmować się moją sytuacją. Było mi przykro, że przez cały czas pracuje, ale robił to dla mnie. Robił to po to, aby było nas stać na tę... cudowną operację. Podchodzę do niego chwiejnym krokiem i padam mu w ramiona.

– Dziękuję, tato – mówię chrapliwym głosem, obejmując go za szyję, jednak on nie odwzajemnia mojego uścisku, tyl-

ko sztywnieje. Dodaję więc: – Wszystko w porządku. – Ale wciąż jest smutny, jakby zaraz miał się rozplakać. Zastanawiam się, co jest nie tak.

– Lewis, nie! – krzyczy mama, widząc, że tata zdejmuje z szyi moje ręce i się cofa.

Tracę równowagę i aby nie upaść, przytrzymuję się parapetu okna. Nagle dostrzegam stojącą na zewnątrz w mroku dziewczynę, która zagląda przez szybę do pokoju. Budzi we mnie lęk, bo wygląda jak zjawa, jakby przybyła z innego świata. Jest ubrana w szpitalną koszulę, wyższa ode mnie i długonoga. Ma ogoloną głowę i niebieskie, jak ja, oczy, lecz gęstsze rzęsy na opadających powiekach i małe usta o wydatnych wargach, a twarz w kształcie serca, bladą i posiniaczoną. Wygląda, jakby została pobita. Sprawia wrażenie zdziwionej i zdezorientowanej. Zastanawiam się, co ona tam robi. Macham do niej, a ona odpowiada mi tym samym... Nie... Nie odpowiada, ona robi to w tym samym czasie! Macham ponownie, lecz i tym razem ona robi to... w tym samym czasie. Jak to się dzieje? – zastanawiam się. Dotykam szyby i ona też jej dotyka. Przesuwam po twarzy dłońmi i patrzę przez palce, a ona równocześnie wykonuje każdy mój ruch. To wcale nie jest zabawne. Chyba zaraz zwariuję.

– Przestań! – krzyczę i widzę, że ona krzyczy to samo w tym samym czasie.

Boże, ta dziewczyna jest niesamowita. Jak ona to wszystko robi? Już wiem, jak sprawić, by przestała mnie naśladować. Podnoszę leżącą na parapecie teczkę z informacją medyczną na mój temat i zamykam oczy. Jestem przekonana,

że ona nie może powtórzyć tego gestu, bo po jej stronie nie ma teczki. Ale gdy otwieram oczy, widzę, że trzyma w dłoniach tę samą teczkę, z moim imieniem i nazwiskiem na okładce, tyle że odwróconą w drugą stronę. Myślałam, że tym razem ją przechytrzę, ale znowu mi się nie udało. Gwałtownie wciągam powietrze do płuc, wypuszczając z rąk teczkę i zasłaniając usta dłońmi, a ona robi to samo.

– Widzicie ją? – pytam rodziców.

Nie odpowiadają. Tata patrzy na mnie ze współczuciem, a pobladła mama zaciska usta.

Odmawiam bezgłośnie modlitwę, by Opatrzność uwolniła mnie od tej dziewczyny. Niestety, odwracając się do okna, widzę, że ona wciąż tam jest. Wygląda na przerażoną. W tym momencie uświadamiam sobie, co się dzieje, i zaczynam trząść się ze śmiechu, ona też. Mam halucynacje. Zostałam tak nafaszerowana lekami, że nie panuję nad umysłem. To jest nieszkodliwe. Równie dobrze mogłabym zobaczyć w tym pokoju latającego różowego słonia. Pokazuję dziewczynie język, a ta oczywiście robi to równocześnie ze mną. Podobnie z pstryknięciem palcami. Nie mogę powstrzymać śmiechu, choć wszystko mnie od niego boli.

Doktor Leo kładzie mi ręce na ramionach i prowadzi mnie do łóżka, gdzie siadam.

– Proszę nie dawać mi więcej żadnych leków, bo miesza mi się od nich w głowie – wykrztuszam kolejne słowa.

Jednak doktor zachowuje powagę, przykuca naprzeciwko mnie, bierze mnie za ręce i mówi:

– Wyjaśnię ci coś, ale musisz zachować absolutny spokój.

Jego ton głosu sprawia, że natychmiast przestaję się śmiać i ogarnia mnie strach.

– Dobrze – przyrzekam.

Wyjmuje z kieszeni lusterko i przystawia mi do twarzy. Tym razem wyraźnie i w kolorze widzę odbicie dziewczyny zza okna, która ukradła mi oczy. Najeżony klipsami chirurgicznymi szew wokół огоłonej czaszki wściekle pulsuje. Dziewczyna ma duże czerwone usta i błyszczące oczy, a tuż nad prawym okiem starą bliznę, która przecina gęstą ciemną brew. Jej twarz w kształcie serca jest pokryta zanikającymi sińcami.

– To nie jest rzeczywista postać – stwierdzam po chwili.

– Istnieje tylko w mojej głowie.

– Nie, nie masz halucynacji. Ona jest rzeczywista. Jest tobą – oznajmia z naciskiem lekarz.

Dziewczyna w lusterku wygląda na wściekłą. Krzywi usta i mruży oczy.

– Pan kłamie! – krzyczę.

Mama podchodzi do łóżka, siada przy mnie i mówi:

– Posłuchaj, Lucy. Wiem, że to dla ciebie niewyobrażalnie trudne, ale bądź dzielna. Wszystko jest w porządku. Nie musisz się niczego obawiać. Doktor Radnor nie kłamie. Dziewczyna, którą widzisz w lusterku, to ty.

Gapię się na tę dziewczynę. Ona patrzy na mnie zszokowana. Ma otwarte z przerażenia usta. Wykrzywia twarz, gdy z jej gardła wydobywa się zduszony krzyk.

O A U T O R C E



Paula Rawsthorne po raz pierwszy odniosła sukces, kiedy wygrała konkurs BBC National „Get Writing” i jej nagrodzone opowiadanie czytał na antenie Radia 4 Bill Nighy. Zwyciężyła także w konkursie SCBWI – „Undiscovered Voices”. Również jej dwie wcześniejsze powieści dla młodzieży zostały nagrodzone. Z pasją propaguje czytelnictwo wśród nastolatków. Jest pisarką rezydentką w szkole średniej, reprezentując krajową organizację dobroczynną First Story, działającą na rzecz umiejętności czytania i pisania. *W cudzym ciele* to jej trzecia powieść dla młodzieży.

Śledźcie ją na Twitterze: @PaulaRawsthorne.

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie
rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej
przez Wydawnictwo Zielona Sowa.
Zabronione są jakiejkolwiek zmiany w zawartości publikacji
bez pisemnej zgody Wydawnictwa Zielona Sowa.**

Serdecznie dziękujemy za pobranie fragmentu książki!
Mamy nadzieję, iż przypadł Państwu do gustu!

Już dziś zapraszamy do zakupu książki w naszym sklepie
www.zielonasowa.pl

**A JEŚLI UMARŁEŚ TYLKO PO TO, BY SIĘ OBUDZIĆ
I ODKRYĆ, ŻE TWÓJ MÓZG I OCZY ZOSTAŁY
PRZESZCZEPIONE W CZYJEŚ CIAŁO?**



Lucy, śmiertelnie chora na raka nastolatka,
budzi się zupełnie zdrowa i silna – ten dzień
powinien być spełnieniem jej marzeń.

Ale w obliczu życia, którego nie wybrała, którego
wcale nie chciała, stała się więźniem i zakładnikiem
ciała otrzymanego w trakcie przeszczepu.

Teraz Lucy musi stawić czoła najważniejszym
pytaniom... Kim tak naprawdę jest i jak daleko można
się posunąć, by uratować kogoś, kogo się kocha.



Zajrzyj na:
zielonasowa.pl

15+
WIEK

ISBN 978-83-8073-964-2



9 788380 739642 >

Patroni:

DEMOTYWATORY.PL



EKRANIE



lubimyczytac.pl

STYLOWI.PL